



Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl/>). Partnerem projektu jest Prokom Software SA. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN. Ten utwór nie jest chroniony prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza, że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać.
Źródło: http://wiki.wolnepodreczniki.pl/Lektury:Oppman/Legends_warszawskie/Syrena.

ARTUR OPPMAN

SYRENA

[*Z LEGEND WARSZAWSKICH*]

I

— A widzieliście ją, tę syrenę niby, kumie Szymonie?

— Widzieć nie widziałem, kumie Mateuszu, bo drzewa przesłaniały źródelko, a bliżej podejść bałem się jakości, alem słyszał, jak śpiewa.

— Alboż to syreny śpiewają ?

— Jakże to? Nie wiecie o tym, kumie Mateuszu? śpiewają! I jak jeszcze! Głos to ci się tak rozchodził po Bugaju, po Wiśle, hen, aż za rzekę, jakoby właśnie dzwonek srebrzysty dzwonił. Słuchałbyś dniem i nocą.

— No, i co dalej? Co dalej?

— Ano, nic dalej. Słuchałem, słuchałem, lubość mi się jakowaś rozplywała po kościach, aż w końcu śpiewanie ucichło: widać syrena schowała się na nocleg w źródelku, bo już i słońce zachodziło, a ja powlokłem się do chaty, alem całą noc spać nie mógł, inom o tej syrenie rozmyślał.

— Ciekawość! Warto by ją wypatrzyć, zobaczyć.

— Ale jak? Toć, jeśli nas ujrzy, — umknie i skryje się w wodzie. A zresztą, może to i grzech przyglądać się takowej stworze niechrzczonej i kuszącego jej śpiewania słuchać.

— Grzech nie grzech, — niewiada! Najlepiej zapytać o to ojca Barnaby, pustelnika. To człek mądry i pobożny; on powie i nauczy, co czynić nam należy.

— Rzetelnie mówicie, kumie Mateuszu, chodźmy do pustelnika Barnaby.

— Ano, to i chodźmy! Ryby przez ten czas z Wisły nie uciekną, a my się od duchownej osoby przeróżności dowiemy.

Tak rozmawiali z sobą dwaj rybacy z nad Wisły w owych zamierzczłych czasach, gdy na miejscu dzisiejszej Warszawy, a właściwie jej Powiśla, leżała niewielka rybacka osada, otoczona gęstymi lasami, w których roilo się od grubego zwierzca: łośi, turów, wilków i niedźwiedzi.

II

— Więc powiadacie, że śpiewała?

— A juści! śpiewała; gadałem przecie.

— Hm! I często se tak podśpiewuje?

— A co dnia! Jak tylko słońeczko Boże ma się ku zachodowi i czerwienią a złotem pomaluje Wiselkę, wraz ci się na Bugaju jej piosenka rozlega.

— I długo też nuci?

— Do zachodu. Jak się ino ciemno zrobi na świecie, już jej nie słyhać.

— To nocami nigdy ze źródła nie wychodzi?

— Czy wychodzi, czy nie wychodzi, tego ja nie wiem, ale przepomniałem powiedzieć, że w pełnię miesiąca też śpiewa. Nieraz mnie ze snu budzi blask księżycowy, co do chałupy zagląda: siadam se na postaniu, aż ci tu odgłos jakowyś dolata z daleka; jakby skowronek, jakby dzwonek, jakby skrzypeczki lipowe: to ona.

— O to mi chodziło właśnie. Więc trzeba tak zrobić...

Tu ojciec Barnaba zadumał się na długą chwilę, a obaj rybacy czekali w skupieniu, aż namyśli się, co poradzić.

Ojciec Barnaba był to starzec wysoki, chudy, siwobrody, łysy jak kolano, odziany w długą samodzielową opończę. Na pomarszczonym jego obliczu rysowały się powaga i dobroć.

Wszyscy trzej siedzieli przed budką pustelnika, na ławie, uczynionej z dwóch pieńków, na których położono z gruba obciosaną deskę. Było to lipcowe popołudnie i cudnie było w boru, pachnącym żywicą i kwiatami. Ptaki śpiewały radośnie, pszczoły wesoło brzęczały, a zielony dzięcioł w czerwonym kapturku stukał dziobkiem, jak młotkiem, w korę rozłożystego dębu i wydłubywał robaki.

A ojciec Barnaba namyślał się, namyślał, aż rzecze:

— Więc trzeba tak zrobić: w pełni miesiąca wybierzemy się we trzech do źródelka; na odzienia nasze naczepić należy gałęzi świeżo zerwanych, najlepiej lipowych, kwiatem okrytych, żeby syrena człowieka nie poczuła, bo się nie pokaże; zaczaimy się przy samem źródle, a gdy wynijdzie i śpiewać zacznie, wtedy zarzucimy na nią sznur, spleciony z cienkich witek wierzbowych, święconą wodą skropiony, ile, że takiego żaden się czar nie ima; zwiążemy i miłościwemu księciu na Czersku zawieziemy w darze. Niech ją na zamku trzyma i niech mu wyśpiewuje.

Ale uszy woskiem musimy sobie zatkać, żeby jej narzekań i lamentów nie słyszeć, bo inaczej serce w nas tak zemdleje, że nie będziemy mieli mocy wziąć jej w niewolę. Srodze jest żałościwe syrenie śpiewanie.

— Tak jest, jak mówicie, ojcie Barnabo; wiem ci ja o tem, bom te piosenki słyszał. Żaden miód, by najprzedniejszy, tak człowieka nie upoi, jako on głos syreni. Więc tedy do pełni miesięcznej?

— Tak jest, do pełni.

I rozeszli się w swoje strony. Rybacy nad Wisłę do zarzuconych sieci, a ojciec Barnaba na modlitwę.

III

Tam, gdzie dziś nad samem prawie wybrzeżem Wisły, poniżej starożytnych kamienic Starego Miasta, rozciąga się ulica, Bugaj zwana, przed wielu, wielu laty szumiał las zielony, odwieczny.

W lesie tym, z pagórka, wznoszącego się nad rzeką, tryskało źródło i rozlewało się w głęboki, bystro płynący potok.

Nad potokiem rosły białokore brzozy, wierzby pokrzywione maczały w nim długie gałęzie, kwitnęły polne róże, i niezapominajki haftowały niebieskimi kwiatkami zielony traw kobierzec.

W tym to potoku mieszkała właśnie syrena.

Była piękna, pogodna noc miesięczna. Srebrzysta pełnia żeglowała przez błękitne, usiane gwiazdami niebo i przyglądała się ziemi uśpionej, lasowi i źródłu.

Ale w lesie nie wszyscy spali.

Zza brzóz i wierzb, stojących na potoku, widać było trzy skulone postacie. Przycupnęły one, wśród krzaków gęstych, i ciekawymi oczyma spozierały w wodę potoku, mieniając się srebrzyście od blasków tarczy miesięcznej. Byli to dwaj rybacy, Szymon i Mateusz, i pustelnik, ojciec Barnaba.

Nagle z wody wynurzyła się przecudna postać. Była to dziewica nadziemskiej urody; w świetle miesięcznym widać ją było doskonale. Miała długie kruczoczarne włosy, pierścieniami spływające na białą, jak z marmuru wyrzeźbioną szyję; szafirowe jej oczy, wzniesione ku pełni, patrzyły dziwnie przejmująco i smutno, a ozdobiona lekkim rumieńcem twarzyczka takim tchnęła czarodziejskim urokiem, że przyglądającym się jej rybakom aż serca zamarły ze wzruszenia.

Syrena chwilę trwała w milczeniu, zapatrzona w niebo i w gwiazdy — i oto w ciszy tej czarownej nocy zadźwięczał śpiew tak piękny, tak kryształowo czysty, że zdawało się, iż i księżyc, i gwiazd miliony, i ziemia, i niebo zasłuchały się w niego do niepamięci.

Wtem z krzaków, cicho, bez szelestu, wyskoczyły owe trzy postacie — i nie tak szybko rzuca się ryś drapieżny na przebiegającą łanię, jak oni rzucili się na syrenę, skrępowali ją powrósem, z witek wierzbowych splecionym, i wyciągnęli z wody na murawę.

Próżno się szamotała nieszczęsna, próżno ich ludzkim a cudnym zaklinała głosem. Głos ten wzruszyć ich nie mógł, gdyż, wedle rady ojca Barnaby, uszy mieli woskiem szczelnie zatkać.

— Co teraz począć? Co z nią począć? — jęli się pytać obaj rybacy zdyszczanym, gorączkowym głosem.

— Co począć? — rzeknie pustelnik — poczekajcie, zaraz wam powiem:

Nim ją do Jego Miłości księcia na Czersku zawieziem, a wieść przecież nie będziem po nocy, zamkniemy syrenę w oborze, a pilnować jej będzie Staszek, pastuch gromadzkiego bydła. Skoro świt zaś, wóz drabiasty sianem wymościm i jazda do Czerska! Dobrze mówię?

— Dobrze mówicie, ojcze Barnabo, mądrze mówicie!

Miesiąc świecił tuż nad polanką, gdzie rybacy złożyli skrępowaną syrenę, i widać ją było wybornie. Do pasa była to, jak się już rzekło, panna na podziw urodziwa, od pasa zaś ryba srebrzystą łuską błyszcząca. Leżała biedna bez ruchu, z zawartemi cudnymi oczyma, ręce wzdłuż ciała opuściwszy, i tylko rybi ogon, długi a giętki, uderzał kiedy niekiedy w ziemię, zupełnie jak u wyjątego z wody karpia lub szczupaka.

— Czas nam w drogę — przemówił pustelnik — bierzcie ją!

Szymon i Mateusz dźwignęli syrenę i ponieśli ją w stronę wioski.

IV

— Otwieraj, Staszku!

— Otwierajno co prędzej! Cóż to? Zarznęli cię zbóje, że się nie ruszasz?

— Nie gramol się, gamoni! skorzej! skorzej!

I rozległy się głośnie uderzenia krzepkich pięści Szymona i Mateusza we wrota obory, oni to bowiem, wraz z pustelnikiem Barnabą, dobijali się uporczywie do wielkiego, drewnianego budynku, w którego ścianach, przez wyrzeżane otwory, widać było rogate łby i mokre pyski licznych krów.

— A co tam? Kto tam? Toć idę już, idę! A któż to tam tak łomoce po nocy? Pali się, czy co takiego?

Zaszurzał ktoś bosymi nogami, odezwało się szerokie ziewnięcie, w ciemnościach niepewna ręka szukała zawory, znalazła ją, otwarła, skrzypnęły wrota — i z mroku wynurzyła się gibka, młodzieńcza postać pastucha Staszka,

— Wszelki duch Pana Boga chwali! A czego to chceta, ojcze Barnabo i wy Szymonie i Mateuszu?

— Cichaj! Syrena! O, widzisz? Syrena! Złapaliśmy ją! Niechaj tu przeleży do rana! O świcie do Czerska ją zawiezieni, do księcia!

— Syrena? Jezusie, Maryjo! Prawda! Jakaż ona śliczna!

— Nie prawilbyś byle czego! Śliczna! Czarownica, wiadomo! Taka ci najcudniejszą postać przybierze, aby tym łacniej otumanić chrześcijańską duszę.

— Boże miły! Prawdę mówicie? To ona chrześcijańskie dusze tumani? I cóż ja mam z nią zrobić?

— Pilnować do zorzy! Ale pilnuj bez ustanku. Nie zdrzemnij się. Uważaj, żeby postronków nie zerwała, bo ucieknie.

— Ha! Każecie pilnować, to będę pilnował. A kiedyż po nią przyjdziecie?

— Mówili. Skoro świt. Teraz ją położym w oborze, niech leży.

— A ty, Staszku, pamiętaj: oka z niej nie spuszczać! Patrz i patrz! Na twoją głowę ją zdajem.

— Już wy się nie bójtą! Umiałem sobie dać rady z graniastym byczkiem, choć beskurcyja zły, jak sam diabeł, to i z syreną poradzę.

— No, to bywaj zdrowy! Będziem tu z powrotem, ino patrzeć!

V

Staszek został sam na sam z syreną. Leżała ona pod ścianą obory, na wprost jednego z otworów okiennych, w przeciwległej ścianie wyciętych, a Staszek siadł naprzeciwko i tak, jak mu rozkazali, patrzył w nią bacznie, i oczu z dziwowiska nie spuszczał.

Miesiąc świecił w ten otwór ścienny mocnym blaskiem i osrebrzał cudną twarzyczkę syreny, w której to twarzyczce jaśniały, jak gwiazdy, modre, wilgotne od łez, przesmutne oczy.

I nie cniło się Staszкови spozierać tak nieustannie na syrenę, bo nigdy, nigdy, jako żywo, nie widział podobnie urodziwego lica i źrenic równie głębokich, przepastnych i czaru zaziemskiego pełnych.

I nagle — syrena spojrziała na Staszka swymi czarodziejskimi oczami, uniosła przepiękną, opierścienioną zwojami czarnych włosów główkę, otworzyła koralowe usteczka i zaśpiewała.

Zaśpiewała jakąś piosenkę bez słów, piosenkę tak cudną, że drzewa za oborą przestały szumieć, a krowy łby ciężkie od żłobów zwróciły w jej stronę, żuć przestały i zasłuchały się w oszołamiającą pieśń syreny.

Staszek był na wpół przytomny. Jak żyje nie słyszał nic podobnego. Śpiew syreny grał na jego sercu tak, jak gra wiosna na sercu każdego człowieka. Uczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego, że jest jakiś lepszy, jakiś mądrzejszy, że otwierają się przed nim światy, o których nigdy dotychczas nie pomyślał, światy pełne aniołów i cudów.

A syrena nagle spojrziała wprost w oczy Staszka i rzekła:

— Rozwiąż mnie!

Nie zawahał się ani na chwilę. Podeszedł ku syrenie i kozikiem rozciął krepujące ją postronki.

A dziwowisko ślicznymi rączkami objęło go za szyję i szepnęło:

— Otwórz wrota i chodź za mną.

Usłuchał. Otworzył wrota na ścieżaj i czekał, co się stanie.

Nie czekał długo. Syrena uniosła się ze słomy, na której leżała, i skacząc na swoim rybim ogonie, przeszła przez wrota i skierowała się w stronę Wisły.

Szła i śpiewała. Krowy wyciągnęły za nią łby i poczęły ryczeć żałośnie, drzewa szumiały do wtóru piosence syreniej, a szumiały tak smutnie, aż niebo drobnymi łzami sypać jęło i zachmurzyło się ponuro. A Staszek, jak urzeczony, szedł za nią, szedł za nią, bez woli, bez myśli.

Ustał deszcz, wyblysnęło słońce; z chałup wychodzili ludzie i ze zdumieniem patrzyli na widok tak nadzwyczajny. A syrena szła i śpiewała.

A gdy już była tuż, tuż nad brzegiem Wisły, odwróciła się, spojrzęła ku wiosce i zawołała na głos cały:

— Kochałam cię, ty brzegu wiślany, kochałam was, ludzie prości i serca dobrego, byłam waszą pieśnią, waszym czarem życia!

Czemuż wzięliście mnie w niewolę, czemuż chcieliście, abym w pętach, w więzieniu, na rozkaz książęcy śpiewała?

Śpiewałam wam, ludzie prości, ludzie serca cichego i dobrego, ale na rozkaz śpiewać nie chcę i nie będę.

Wolę skryć się na wieki w fale wiślane, wolę zniknąć z przed waszych oczu i tylko szumem rzeki do was przemawiać.

A gdy przyjdą czasy ciężkie i twarde, czasy, o których nie śni się, ani wam, ani dzieciom i wnukom dzieci waszych śnić się jeszcze nie będzie, wtedy, w lata krzywdy i klęski, szum fal wiślanych śpiewać będzie potomkom waszym o nadziei, o sile, o zwycięstwie.

A tu tymczasem, pędem od wioski lecą ku brzegowi obaj rybacy i pustelnik stary i krzyczą:

— Łapaj, trzymaj, nie puszczaj!

Ale! nie puszczaj!

Już ci syrena chlup! do wody, a za nią w te pędy Staszek.

Skoczył, wychynął z rzeki, rozejrzał się dokoła, zawołał:

— Bóg z wami!

I zniknął.

Minęły lata i wieki. Na miejscu wioski — miasto powstało, ludne, bogate, warowne.

A miasto owo, później stolica, na pamiątkę dziwnej przygody z syreną, wzięło ją za godło swoje, i godło to po dzień dzisiejszy widnieje na ratuszu Warszawy.